Mirosław Derecki
Źródło: „Kamena”nr 17, 14.08.1983, s. 4-5.

ŚRODOWISKO LUBELSKIE (13)

Awers i rewers

DO „Kameny” zaangażowano mnie w styczniu 1963 r., a w kilka miesięcy później do zespołu redakcyjnego dołączył Zdzicho Jastrzębski, wybijający się już wówczas krytyk, eseista, znawca Norwida, Leśmiana oraz badacz młodej literatury okupacyjnej, na której temat pisał właśnie pracę doktorską. Jego nazwisko pojawiało się od kilku lat często na łamach najpoważniejszych krajowych pism kulturalnych oraz periodyków literaturoznawczych, od dawna związany był także z „Kameną” - debiutował na jej łamach w 1956 r., min. artykułem „Aktualności Norwida”. Teraz obejmował w „Kamenie” stanowisko kierownika działu literackiego; równocześnie pracował w Instytucie Medycyny Pracy i Higieny Wsi, gdzie zorganizował i prowadził bibliotekę naukową. Wraz z Tadeuszem Kłakiem, znawcą Czechowicza i Leśmiana, stałym współpracownikiem, autorem m.in. „Przeglądu prasy”, wzorowanego trochę na podobnej rubryce prowadzonej w „Życiu Literackim” przez M. A. Styksa - Józefa Maślińskiego, mogli oni postawić sprawy literatury w „Kamenie” na bardzo wysokim poziomie. Niestety, splot okoliczności sprawił, że nic z tego nie wyszło: Jastrzębski zdecydował się na odejście z redakcji, a Kłak zagrzebał się na szereg lat w Nałęczowie jako dyrektor Muzeum im, Bolesława Prusa...

* * *

Zdzicha poznałem latem 1956 r. podczas pobytu na wakacyjnym obozie Teatru Akademickiego KUL we Fromborku, gdzie dostałem się „przez protekcję” jako jedyny nie-kulowiec, członek studenckiego Zespołu Dramatycznego przy UMCS. Kierował obozem - którym od strony dydaktyczno-artystycznej opiekowała się. prof. Irena Sławińska, zwana popularnie na całym uniwersytecie „Ciotką” - właśnie Zdzisiek Jastrzębski.

Frombork był wtedy miasteczkiem leżącym na poły w ruinie, po przejścia tędy działań wojennych. Mieszkaliśmy na wzgórzu, w pobliżu Katedry, w ukrytych wśród zieleni, lekko rozpadających się dawnych domkach kanoników. Warunki były co się zowie spartańskie: spaliśmy na jakichś niewiarygodnie powykręcanych, zdezelowanych żelaznych łóżkach szpitalnych, po wodę chodziło się aż na Rynek, do jedynej czynnej wówczas w miasteczku pompy, gotowaliśmy i zaopatrywaliśmy się w spożywcze produkty własnym przemysłem. Cały dzień trwały zajęcia z wiedzy o teatrze, z literatury; młoda aktorka - lublinianka - Danuta Nagórna prowadziła ćwiczenia

z dykcji oraz recytacji. Z prof. Sławińską dokonywaliśmy analizy tekstu przygotowywanej do wystawienia przez Teatr Akademicki sztuki Anny Świrszczyńskiej. Natomiast wieczorami byłem świadkiem długich i gorących dyskusji na temat poezji Kamila Baczyńskiego i Tadeusza Gajcego i całego szeregu innych młodych, już w większości nieżyjących, polskich poetów z lat okupacji; o tym całym spoczywającym pod gruzami Warszawy literackim pokoleniu, o którego istnienia przeciętny student polonistyki wiedział wówczas bardzo niewiele albo zgoła w ogóle nic...

Tym dyskusjom nadawał ton nasz kierownik obozu, autor przygotowywanej właśnie do druku niedawnej pracy magisterskiej: „Pamiętnik artysty. O Vademecum Norwida" a w przyszłości - doskonałej książki: „Literatura pokolenia wojennego wobec dwudziestolecia". Zaprzyjaźniłem się wówczas z gromadą młodych polonistów zakochanych w teatrze i sposobiących się do szturmu na sceny zawodowe: Elą Wojciechowską, Zbyszkiem Staweckim, Romą Świderską, Elżbietą Marylską, Atkiem Chruszczewskim i jego narzeczoną Kreską, z Mietkiem Trochimiukiem. Ela Wojciechowska trafiła później do krakowskiego Teatru Rapsodycznego, Zbyszek Stawecki po epizodzie z warszawską PWST objawił się nagle jako doskonały autor tekstów piosenek, „pierwszy autor" Ireny Santor. Atek Chruszczewski aż do lat siedemdziesiątych, poza asystenturą na KUL-u - opiekował się zespołami teatralnymi uniwersytetu. Tylko Mietek Trochimiuk, ten Mietek przygotowujący się poważnie do zawodu krytyka teatralnego, rzucił po kilku latach wszystko w diabły. Czarny parasol, z którym dystyngowanie, „po angielsku" paradował po Krakowskim Przedmieściu zawiesił na kołku i wyjechał z żoną - również polonistką - na ojcową schedę gdzieś pod Białą Podlaską, gdzie zajął się hodowlą owiec na wielką skalę...

Zdzisiek Jastrzębski był wysoki, szczupły, o pociągłej, raczej nawet - suchej twarzy, bardzo dojrzały jak na swoje dwadzieścia sześć lat, bardzo serio i raczej pozbawiony poczucia humoru. Gdyby nie ten brak humoru, nie owo ciągłe jakby zatroskanie, czy może raczej: zapatrzenie w poważne, nurtujące go problemy krytyczno-literackie, można by było o nim powiedzieć, że reprezentował typ harcerza. Takiego przedwojennego, podobnego do tych chłopców i młodzieńców, o których zbierał materiały, i o których pisał, a którzy pewnego dnia odmeldowali się Muzom i pomaszerowali na barykady Powstania. Obóz teatralny prowadził silną ręką, był wymagający, ale nie do przesady. W ogóle - dał się lubić, choć jego przyjaźń zaskarbić sobie było niełatwo. Poza zajęciami trzymał się trochę na uboczu, asystując swojej narzeczonej, Ani Gąsiorowskiej, z którą miał się wkrótce żenić.

We wrześniu czy też październiku tegoż roku byłem na ich ślubie, a potem także na weselu w domu rodzinnym Anki, w kamieniczce przy ulicy Szewskiej w Lublinie. Było bardzo wesoło i serdecznie i wydawało się nam wszystkim, że nigdy się już nie rozstaniemy... W kilka tygodni później większość uczestników tego studencko-magisterskiego wesela rozjechała się po całej Polsce. Anki - choć dotąd mieszka w Lublinie - nie zobaczyłem nigdy więcej, a ze Zdzichem spotkałem się dopiero siedem lat później, przy redakcyjnym, „kamenowym" biurku.

Wtedy, w 1963 r., Jastrzębski po raz pierwszy chyba w życiu osiągnął stopień względnej stabilizacji: do tej pory pracował jako bibliotekarz lub kontraktowy nauczyciel w lubelskich liceach, chcąc dysponować wolnym czasem na badania literackie i pisanie. Miał poza tym sztywny kręgosłup, nie lubił się przyginać, nie padał plackiem przed „autorytetami", więc na „młodego pracownika nauki", początkującego asystenta „przy katedrze", nie bardzo się nadawał. Obarczony powiększającą się rodziną, musiał znaleźć jakieś optymalne wyjście z sytuacji. Tym wyjściem wydawała się spokojna, ale zarazem odpowiedzialna praca w Instytucie Medycyny Pracy i Higieny Wsi, a zarazem - bardziej chyba ambicjonalnie go satysfakcjonujący - półetat kierownika działu literackiego w „Kamenie" czterech województw wschodnich.

Szkoda, że tych dwóch zajęć nie dało się, w ostateczności, pogodzić, ówczesne kierownictwa redakcji wymagało od Jastrzębskiego przede wszystkim przestrzegania „godzin urzędowania" - co było zupełnie nie do pogodzenia z urzędniczym trochę systemem pracy w instytucie. A poza tym wkrótce okazało się, że „kierownictwo działu" jest fikcją; Zdzisiek był z dnia na dzień coraz bardziej obarczany kilogramami nadchodzących do redakcji maszynopisów „do adiustacji". Z jego zdaniem, jako krytyka, liczono się coraz mniej. Z natury milczący, nie zwierzał się nikomu ze swoich redakcyjnych problemów i zawodów. Jednak pewnego jesiennego wieczoru, gdy siedzieliśmy już tylko we dwóch w „starej redakcji", przy ulicy Granicznej 7, ja - jak zwykle przy stole pod piecem, on - przy biurku księgowego pod oknem, podniósł nagle głowę znad maszynopisów i swoim spokojnym, trochę flegmatycznym tonem, powiedział do mnie: „Na adiustatora się nie godziłem. Nie mam tutaj co robić. Odchodzę z redakcji". Następnego dnia rano złożył wymówienie.

Współpracy z redakcją jednak nie przerwał. Ale było to już tylko pisanie „z wolnej stopy". O ile wiem, nigdy się już potem z żadną redakcją nie związał na stałe. Zresztą w 1966 r. zaproponowano mu stanowisko adiunkta w Katedrze Historii Literatury Polskiej UMCS, gdzie prowadził zajęcia ze wstępu do nauki o literaturze.

W rok później otrzymał stypendium habilitacyjne w związku z przygotowywaną rozprawą „Humor w okresie wojny (formy i funkcje}", która ostatecznie nigdy nie została doprowadzona -ze względu na śmierć autora - do końca. W tym samym, 1967 r, ukazała się pierwsza książka Zdzisława Jastrzębskiego - „Bez wieńca i togi. Szkice krytyczne", w r. 1969 - „Literatura pokolenia wojennego wobec dwudziestolecia". Poza tym opracował i opatrzył wstępem szereg pozycji książkowych takich, jak min.: „Wspomnienia o Bolesławie Leśmianie", „Utwory wybrane" Tadeusza Gajcego, „Aby podnieść różę... Poezje i dramat" Andrzeja Trzebińskiego, „Konspiracyjna publicystyka literacka 1940-1944. Antologia".

Dopiero w wieku niespełna lat czterdziestu, on, autor tych wartościowych prac krytycznych, esejów i książek, został przyjęty w poczet Związku Literatów Polskich. Nie układało mu się także łatwo, w późniejszych latach, życie osobiste. I samo zakończenie życia było nietypowe. Znaleziono

go w kilka dni po śmierci w jego własnym mieszkaniu. Uważa się, że przyczyną zgonu był nagły atak serca.

W szkicu o twórczości Zdzisława Jastrzębskiego - „Krytyk w głębokość sumienia schodzący" Ewa Wiszniowska przytacza cytat z listu Norwida do Władysława Czartoryskiego, który powtarza się kilkakrotnie w pracach zmarłego przed dziesięciu laty krytyka: „Ocena czy jest sztuką? czy umiejętnością? - nie wiem -to pewne jednakże, iż ocena jest tak niezmiernie ważną w życiu ludów, iż gdyby jaki naród tę tylko jedną rzecz posunął do wszechstronnego udoskonalenia, już byłby bezpiecznym - i pozostałoby mu tylko bezpieczeństwo zyskane utrzymać."

W kilka lat po odejściu z „Kameny" Zdzicha Jastrzębskiego pojawił się wśród pracowników redakcji jego młodszy kolega ze studiów polonistycznych na KUL-u, całkowite przeciwstawienie tamtego chłodnego, skupionego intelektualisty - Romuald Wiśniewski. Za czasów studenckich zwany „Lolkiem", a teraz pisujący w miejscowej gazecie partyjnej felietony pod godnym pseudonimem Anzelma Borkowskiego, emerytowanego majora WP.

Romcio tak potrafił podchwycić kostyczno-ględząco-„zaangażowany" język typowy dla starszych panów chodzących do końca życia sprężystym krokiem i zachowujących charakterystyczną sylwetkę, że prawie nikt - nawet spośród dziennikarzy - nie orientował się, że częste „interwencyjne" listy do redakcji wychodzą spod pióra zupełnie młodego człowieka..

Przede wszystkim jednak nasz kolega był „szalejącym reporterem" strzelającym do nieprawdopodobnych nieraz celów, a poza tym oryginałem i postacią jaką trudno już dzisiaj spotkać w dziennikarskim światku.

Wysoki, szczupły, dbający stale o sprawność fizyczną, co objawiało się m.in. w chodzeniu po lokalu redakcji na rękach, robieniu „wagi" na redakcyjnych biurkach lub zdejmowaniu z zawiasów ciężkich, redakcyjnych drzwi (które potem musiałem za niego niejeden raz zakładać), nikotynowy i alkoholowy abstynent - Romek cały czas był w ruchu. Albo gdzieś po coś pędził, albo się spóźniał z materiałem i wielkimi literami, na kolanie, smarował ostatnie akapity kolejnego niezwykłego reportażu, albo coś przekładał z miejsca na miejsce, albo - siedząc - trząsł kolanami. Sprawność fizyczną uzyskał Romek podobno głównie dzięki biegom przełajowym w towarzystwie swojego psa-wilczura, który jednakowoż nie wytrzymał treningu i umarł na serce. Oraz - jak twierdził - jako uczestnik Brygad Służby Polsce w Gliwicach, gdzie w 1951 r., po zdaniu matury w lubelskim gimnazjum, piastował przez pewien czas stanowisko dowódcy drużyny a następnie - szefa hufca.

W tymże 1951 r. Romek Wiśniewski rozpoczął pracę w redakcji „Życia Lubelskiego", będąc jednocześnie korespondentem ogólnopolskiego „Sportu". Rozpoczął również studia polonistyczne na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Wkrótce zasłynął tam jako jeden z czołowych talentów w grze w cymbergaja. Niestety, rozstanie się, po pewnym czasie, ze studiami, które przeszkadzały mu w karierze dziennikarskiej, otóż to rozstanie, przekreśliło możliwości zrobienia przez Romka

kariery w tym sporcie. Romek notabene zachował na zawsze namiętność do cymbergaja. Jeszcze w piętnaście lat później, po przyjściu do „Kameny", próbował nas skłonić do treningów, z wykorzystaniem trzech monet i dwóch grzebieni... Ale nic z tego nie wyszło. Po pierwsze - spotkał się z całkowitym brakiem zainteresowania wśród potencjalnych zawodników, a po drugie - sekretarz redakcji, Jurek Dostatni, robił piekielne awantury o rysowanie, na blatach biurek „boisk futbolowych"...

Ubierał się Romek zazwyczaj nobliwie: garnitur, krawat, kalosze, czarny parasol zimą i latem, jasnoszara samodziałowa „dyplomatka" z aksamitnym czarnym kołnierzem. Najlepiej - jeżeli były to rzeczy z przeceny bo przeceną się pasjonował i znał wszystkie sklepy z tej branży w całym regionie. Poza tym miał zwyczaj chodzenia, raz na miesiąc, do dermatologa w celu przebadania się. Nawet w okresach erotycznej posuchy nie odstępował od tej zasady. A kiedy mówiliśmy, że przecież to bez sensu, odpowiadał: „Dobrze, dobrze! A ja czytałem gdzieś, że nawet w publicznej toalecie można się zarazić!!!"

Co pewien czas doznawał Romek nagłych olśnień: oto, kupiwszy wyjątkowo tanio dubeltówkę z przeceny, postanowił zostać myśliwymi Chociaż, niejeden raz, wybierając się na polowanie zmieniał nagle zamiar. Kiedyś spotkałem go na ulicy Okopowej całego w dwururkach, trokach, polowych torbach i plecakach: - Co, wybierasz się na polowanie? - zagadnąłem dość głupio, bo to przecież było oczywiste. - A, nie - odpowiedział. - Idę właśnie do okulisty.

Do strzelania miał lekką rękę. Nie wiem, jak tam było w lasach lub na polach, bo na łowy z nim nie chodziłem, ale kiedyś zrobił Sodomę i Gomorę w redakcji „Kuriera Lubelskiego". Otóż Romek został nagle powołany na przeszkolenie wojskowe i równie nagle pojawił się w pomieszczeniach lubelskiej popołudniówki ubrany w zieloną panterkę i z ogromnym pistoletem u boku. Wpakował się do gabinetu zastępcy naczelnego, Jerzego Turzańskiego, który w charakterystyczny dla siebie sposób, cedząc wolno przez zęby każde słowo, zaczął poddawać w wątpliwość umiejętności Romka w posługiwaniu się krótką bronią palną:

- T-y-y-y byś n-a-w-e-t R-o-o-m-e-k od-bez-pie-czyć tego k-o-o-o-p-y-t-a nie umi-a-a-ał...

- Cooo???! - wrzasnął dotknięty do żywego Wiśniewski - TO ZARAZ PAN, PANIE JURKU, ZOBACZY!!!

I wywalił w sufit siedem pocisków, równo jeden przy drugim, a Jurek Turzański zrobił błyskawiczne „lotnik kryj się" za biurkiem, a potem wyczołgał się przepisowo na korytarz krzycząc: „Wariat! Wariat!!!"

W wieku niespełna czterdziestu lat Romek postanowił zostać płetwonurkiem. Zapisał się do istniejącego w Lublinie klubu „Murena" i trenował, trzeba przyznać, tak gorliwie, że nawet pojechał na zawody międzynarodowe do Genewy. Nie wiadomo, co by było dalej, ale zdaje się, że nić podwodnych sukcesów przerwała kolejna narzeczona Romualda, którą - jak wszystkie

poprzednie - traktował „jako doskonały materiał na żonę”. Do tej pory, nawiasem mówiąc, pozostał kawalerem.

Jako jeden z pierwszych lubelskich dziennikarzy Romek poznał uroki turystyki zagranicznej. Po kilku takich podróżach do Jugosławii, Bułgarii i Rumunii zaczęto go uważać (to były, proszę pamiętać, wczesne lata sześćdziesiąte!) za bywałego globtrotera, który doradzi i pomoże w potrzebie..

Kiedyś jechał do Bułgarii tym samym pociągiem z koleżanką ze „Sztandaru Ludu”, Danusią Grzelakową. Opiekuńczy i szarmancki podczas podróży, postanowił jej w końcu zrobić szatański kawał.

Na dworcu w Bukareszcie pociąg z Warszawy do Warny ma dłuższy postój. Romek oświadczył, że idzie się umyć do dworcowej toalety i wyszedł tylko w spodenkach kąpielowych, z ręcznikiem i mydłem w ręku. Potem schował sie za ostatnim wagonem i zaśmiewając się w duchu, czekał co to będzie, jak pociąg ruszy, a wyglądająca nerwowo przez okno jego koleżanka wciąż nie będzie widziała go na peronie. Tymczasem on, uczepiony buforów ostatniego wagonu, dopiero za stacją wejdzie do środka. Czekał, czekał.- pociąg zagwizdał, zaturkotał, ale wagon ani drgnął! Potem okazało się, że połowa składu pociągu została odczepiona i pozostała... na dworcu! Do Warny dojechał w dwa dni później, kombinowanymi pociągami, w samych kąpielówkach, ku uciesze współpasażerów i przy troskliwej opiece celników, kolejarzy i służby granicznej. Był bądź co bądź, pasażerem bez paszportu.

Powetował sobie ów dyshonor następnego roku. Wybrał się wtedy do jednego z krajów zaprzyjaźnionych, który... zaordynował tego lata zakaz wjazdu w swoje granice wszystkim posiadaczom długich włosów, bród, oraz bokobrodów. Wąsy, im bardziej sumiaste, tym życzliwiej były widziane. Inny rodzaj zarostu - nie. Na wjazdowej stacji granicznej stawiano turystom ultimatum: aut - aut! Nie posiadającym własnych nożyczek i brzytew świadczył usługi miejscowy, stacyjny balwierz. Romek był posiadaczem okazałych baczków i dlatego przed nim również stanął szekspirowski dylemat: być albo nie być...

Jednakowoż miał właśnie na sobie drelichowy garnitur koloru khaki przypominający trochę krojem mundur wojskowy, a na głowie zieloną czapeczkę przywiezioną z Międzynarodowego Festiwalu Piosenki w Sopocie, w którą, nad daszkiem, wpięty był barwny metalowy znaczek festiwalowy. Otóż Romcio nachylił się konfidencjonalnie do osobnika sprawdzającego wkładki paszportowe, pokazał znacząco palcem na czapeczkę i znaczek, i powiedział szeptem: „Mission speciale...!” „AAA!” - pokiwał głową ze zrozumieniem urzędnik. I... bez dyskusji przybił we wkładce pieczątkę z napisem: „WJAZD”! Obyło się bez fryzjera.

Przy tym wszystkim był Romek typem prawdziwego, rasowego reportażysty, dziennikarza „czującego temat” i umiejącego sprzedać zebrany materiał w sposób dynamiczny i dramatyczny.

Niezwykłość tematów, lub niecodzienny sposób zbierania materiału czy zadawania pytań, podnosiły tylko walor i urok jego tekstów. Romek np. wchodził do celi przestępcy, który już od dwudziestu lat Świata Bożego nie widział, i pytał go: „Co nowego słychać, panie X?" I dostawał - porcję ciekawych informacji na temat życia więziennego. Albo wspinał się na dach za kominiarzem: „Czy pan się nie boi?" - wołał do balansującego na krawędzi komina mistrza, i, o dziwo, właśnie to naiwne pytanie wyzwalało w jego interlokutorze chęć do długotrwałych zwierzeń. Albo - wykrywał podziemne bimbrownie nad samym Bugiem. Albo - w Hrubieszowie dostał się do omijanej przez wszystkich piwnicy, w której mieszkała od wielu lat stara, zdziwaczała kobieta, z kilkudziesięcioma psami, które nigdy nie widziały światła dziennego. Te reporterskie talenty Romka Wiśniewskiego chwalił bardzo Melchior Wańkowicz.

Niestety, Romka poniosło z „Kameny" w świat. W 1972 r. Jozef Barecki zaproponował mu pracę w „Trybunie Ludu" w Warszawie. Jako wysłannik tego pisma wyjeżdżał Romek kilka razy do Wietnamu. Potem przeszedł do redakcji „Razem", a ostatnio jest reporterem i publicystą w „Prawie i Życiu".

Bez Romka bardziej szaro zrobiło się w „Kamenie" i posmutniał bez niego Lublin.

Czasem jednak się widujemy. I zawsze jest podobnie, Bo oto, ile razy spotka mnie Romek Wiśniewski na ulicy w Warszawie, Lublinie czy Krakowie, woła już z daleka: „Czeeeeść, kopę laaaat! Co nowego w redakcji?"

I zaraz dodaje a troską: „Słuchaj: czy ty zdajesz sobie sprawę, że ty się zmarnowałeś?! Piszesz coraz gorzej! CO SIĘ Z TOBĄ STAŁO???"

„Nie mam najmniejszego pojęcia, Romku" - odpowiadam niezmiennie.